

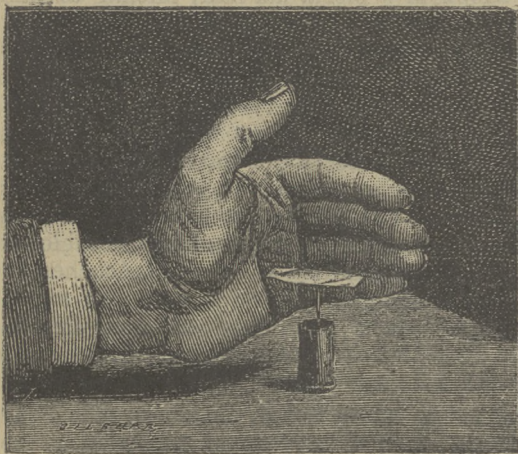


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



CZARODZIEJSKI MŁYNEK.

Nic łatwiejszego, jak urządzenie tój sztuczki, która jednak nieświadomym może się wydać w rzeczy samój czarodziejską. Weźmy gruby, równy korek, zatknijmy weń igłę końcem do góry, a na tój igle umieścmy papierek, najwyczajniejszy kawałeczek papieru listowego. Trzeba mu tylko nadać kształt pewien, bo w nim to właśnie tkwią czary. Więc wycina się pasek na 8 centymetrów długości, 1 cent. szerokości i złożysz go we czworo, aby oznaczyć środek, zagiąć trzeba dwa koniuszeczki, naprzeciw siebie na ukos leżące. Wreszcie zatyka się papierek na końcu igły w punkcie owym środkowym. Przyrząd jest gotowy.

A teraz ktokolwiek z towarzystwa przybliży do niego obie ręce (na rysunku jedna jest przedstawiona, aby młynka nie zasłaniać) nie dotykając go jednak wcale. I oto dzieje się rzecz dziwna: papierek zaczyna się obracać na igle, zupełnie, jak skrzydła wiatraczka. Niema w tem wszakże nic nadzwyczajnego, nauka fizyki wytłómaczy nam te czary. Ręce zbliżone do papierka są ciepłe, (powinny być ciepłe, trzeba o tem pamiętać, ażeby się sztuczka udała,) powietrze ogrzewa się z tego powodu dokoła przyrządu, unosi się w górę i powstaje prąd, który wprawia w ruch dwa zagięte różki papierowe a papierek cały zaczyna się kręcić. Im cieplejsze są ręce, otaczające młynek, tem pewniejsze powodzenie sztuczki.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dalszy ciąg).

Była tuż przy klasztorze wyniosłość, nad którą rozlegały się lasy, daleko sięgające. Wszystkie cztery, jedną myślą kierowane, zwróciły się ku tój stronie, tam tylko ludzka istota mogła jeszcze się ukryć; zewsząd indziej kraj równy jak na dłoni, śniegiem przysypany, przerażał swoją widnością. Ale aby dostać się do tych upragnionych lasów, uciekające musiały wchodzić na pagórek. W niejakiem oddaleniu kilkunastu pogan szamotało się z garstką chłopstwa; dostrzegli panienki pnące się na wzgórek, i zaraz dwóch Tatarów odbiegło pierwszej walki dla ponętniejszej zdobyczy. Biegając, trzaskali nahajkami. Usłyszały to brzmienie złowrogie, ach! dosłyszały i bieg ich coraz bliższy, podobny do pędu

konia, zaczęły tracić siły; na spadzistości śnieg się z pod nich osuwał, dwie słabsze nie mogły nadażyć Ludmile, łańcuch rąk się rozerwał, każda uciekała z osobna, a nahażki klaskaly, a dzwon bił z przerwami, jakby już i dzwoniący tracił serce.

Nakoniec stanęły u wierzchu wśród pierwszych drzew leśnych. Ludmiła, wnet straciwszy z oczu towarzyski, uniosła brzegi sukni i na osłep wpadła w gęstwinę.

Kronika opowiada, że „wszystkie Norbertanki Witowskie zginęły, jak towarzyski świętej Urszuli, wszystkie z palmą w ręku, wyjąwszy trzy, które zdołały zbiedz do lasów”.

Tak, te trzy zbiegły, kryły się długo w postrachu i głoździe, aż dano im było wrócić między swoich, ale ich ocalenie zostało okupione zagubą Ludmiły; kiedy bowiem białe habity Norbertanek nikły na tle śniegu i myliły oczy pogoni, ciemna suknia Ludmiły zdradzała ją wszędzie; za nią wyjącznie puścili się obaj Tatarzy, sadząc sążniste kroki, krzycząc jak za zwierzyną: „A hu! A hu!”

Wprawdzie duża przestrzeń oddzielała ją od nich, ale nierówne siły biegnących wciąż zmniejszały ten przedział. Kilka razy trąciła pniak sterczący, upadła i znów biegnie; jakiś zmarzły strumyk zatrzeszczał jej pod nogą, pośliznęła się, padła, znowu wstała i biegnie; ale śnieg coraz głębszy ją wstrzymuje, cienkie niewieście obuwie rozmiękło i drze się o gałęzie.

Nagle coś koło niej warknęło, coś ją chwyciło za nogi, jakby wąż pierścienisty, jeden z Tatarów zarzucił na nią arkan. Chciała biedz dalej, sznur ją cofnął i upadła na wznak, szczęście, że padła w puch śniegowy. Dwaj doganiacze schylili się nad nią. Należeli oni do najniższej hałstry wojska; ich koczuchy świeciły tłuszczeniem, ich płaskie nosy i krzywe oczka nadawały im pozór nie zupełnie szatańskich, ale mieszkawców jakiegoś innego, podlejszego świata.

Zwrócili jej twarz pod światło księżycowe i rozśmieli się nad jej pięknoscią. Ach! Piękność zawsze była w wojnach fatalnym okupem, listem prawdziwie „żelaznym”, dzwoniącym haniebnymi kajdanami.

Więc nie zabili nadobnej zdobyczy, owszem, ostrożnie linę z nóg jej zdjeli, jednym końcem arkanu w tyle związali ręce, a drugi koniec pochwywszy, pędzili ją przed sobą świstaniem nahażki i swoim okropnem: „A hu!”

Ale panienska wół zemdłona ślizgała się i upadała nieustannie; aż jeden z krzykiem niecierpliwości pochwyił ją, zarzucił na swoje ramię i uniósł jak piórko. W niedługiej chwili znaleźli się pod klasztorem, pomiędzy szeregami wysokich, dwukolnych wózków. Położył ją na wózku, na słomie, przykrył jeszcze słomą, stanął koło niej, pogwizdując wesoło.

Ludmiła przemoknięta, przemarzła do kości, zapadła w sen śniegowy, który jej się wydał przedśmiertnym. Z rozkoszą pograżyła się w jakiś zawrót pełen światła i ciemnic, który ją pociągał w przepaść zapomnienia. Kilka razy jednak podniosła jeszcze nieco powieki; raz ujrzała Tatara w złotym ornacie, z czarnym welonem Norbertanki, obwiązanym chwiejnie w koło czapki, który zbliżał się do wózka, pijąc z kielicha kościelnego, a potem podał go jej strażnikowi; obaj kolejno zapijali chciwie, rzucając sobie wykrzykniki w niezrozumiałej mowie. Dzwon już się nie odzywał.

Kiedy poraz drugi otworzyła oczy, okna kościelne pałały wielkim światłem. Na ołtarzach, w świecznikach, wiszących u sklepień, wszystkie gromnice były zapalone. Przez ścianę dolatywały ciągle głuche szmery i szczęki, przerywane niekiedy cienkim, kołącym krzykiem.

Ludmiła usłyszała na sąsiednim wózku głos kobiecy, na wół zdławiony przerażeniem:

— O Boże! Teraz mają brać na męki ksienią i starsze siostry, ażeby im wyznały, gdzie są skarby kościelne. Oj, ciężko wy kiedyś odpowiecie przed Bogiem!

— Cóż było robić? — odmruknął głos inny, grubszy.

— Z naszymi panami nie przelewki. Już tam przed furta, kiedy my zdjęte litością nad wami zaczęły się nieco

leniwiżej napierać, zaraz jeden z nich, niby to stara baba, szepnął mi w ucho: „Tak to wy słuchacie nakazu?” A kiedy szeptał, to pod ręką, pod moją własną ręką dźgał mi dziecko tym swoim nożem krótkim, a takim wyostrzonym, jakby same iskry. Nieszczęsne moje biedactwo w krzyk. Uczułam na rękę, oto tu, krew... ciepłą krew... a to się lało z mego jedynaka. I co było robić? Czy my miały dać ugotować nasze dzieci żywcem?

Ludmiła zlekła się tych obrazów, tych słów niepojętych a strasznych, jak z mora. Wkopała się jeszcze głębiej w słomę, obraz turnieju krakowskiego nie wiedzieć zkąd przeleciał przed nią w blasku, zapatrzyła się w jakieś pawie oczy, zapomniała, i usnęła — branką.

* * *

Przez trzy dni pędzono nieszczęśliwych jeńców, to na wózkach, to pieszo; gromada Tatarów z szaloną szybkością przemykała się bocznymi drożynami, nigdzie nie napotykała oporu, a biedna Ludmiła straciła zupełnie nadzieję ratunku. Prawie nieprzytomna z postrachu i rozpacz, raz jeden ocknęła się, poznawszy sługę z Żegnańca, wiernego domownika Elżbiety. Ten w niewyraźnych słowach jej odpowiedział na zapytanie, jakim sposobem dostał się do niewoli, że biegł właśnie do Żegnańca i po drodze był schwytany. Na razie nie zrozumiała znaczenia tych słów, później je sobie przypomniała.

Czwartego dnia koczująca w lesie horda tatarska nagle zaniepokojona została wieścią o zbliżeniu wojsk chrześcijańskich. Już bowiem sam król Bolesław wyruszył na czele rycerstwa z Krakowa, by odeprzeć napad Tatarów, oddziały wojskowe rozbiegły się w różne strony i oto jeden z nich się zbliżał. Radość wielka wśród jeńców, popłoch wśród Tatarów, ukazują się wreszcie zastępy dzielnych wybawców, po krótkiej walce przerzedzają się tatarskie hufty, rycerze chrześcijańscy docierają aż do miejsca, gdzie powiązani jeńcy, otoczeni wozami, jakby barykadą, czekają wybawienia.

Ludmiła wydaje okrzyk zachwytu, oczom swym nie wierzy, bo oto na czele wybawców, w zbroi błyszczącej, w hełmie zdobnym w pióra, jak istny Michał archanioł, pędzi rycerz dobrze jej znany, zwycięzca turniejowy Michał Przedwojowic. Łańcuszki, owe łańcuszki związane podczas przysięgi na pawia, błyszczą w słonecznym blasku i dźwięczą przy każdym poruszeniu rycerza. I on poznał turniejową swoją damę, pada na kolana u stóp jej, przecina więzy, a Ludmiła dobywa kluczyka, odmyka kłódeczkę, łańcuszki z brzękiem spadają na ziemię. Rycerz podnosi je i oddaje panience, prosząc, aby ten upominek zachowała na pamiątkę jego. Niewysłowione przecucie smutku ścisnęło serce Ludmiły, pocóż on ją obdarzył więzami, łańcuchem? Chciała zwrócić ten dar złowróźbeny rycerzowi, lecz nagle ich rozłączono, tłum jeńców pochwyił na ręce Przedwojowicę i począł go obnosić z okrzykami tryumfu dokoła obozu. Panienska przytłumiła zabobonny poryw i zachowała łańcuszki.

Niestety! Tryumfy to były chwilowe, radość przedwczesna. Tatarzy, porażeni na jednym punkcie, powrócili większą siłą i zastępy chrześcijańskie rozbili zupełnie. Zginął też młody rycerz Przedwojowic, szczątki jego odszukała Ludmiła na placu boju i wraz z niemi złożyła do grobu wszystkie nadzieje, wszystkie marzenia o szczęściu. A gdy tak rozpacz już miała ją ogarnąć ostatecznie i stłumić wszelką energią i ochotę do życia, przebudził ją ze stanu tej martwoty ducha głos dobrze znany, głos Sulisława z Żegnańca, męża ukochanej Elżbiety, przyjaciółki i opiekunki sieroty. Sulisław znajdował się pomiędzy wojownikami, którzy bój ów nieszczęsny z Tatarami stoczyli; nie zginął, lecz spozstrzegł wśród zabitych wiernego sługę, wysłanego do Żegnańca z ważnym zleceniem do Elżbiety, by natychmiast opuściła zamek wraz z dzieckiem i dażyła do Krakowa, pod opiekuńcze skrzydła królowej. Oczywiście było rzeczą, że posłaniec nie dojechał na miejsce, zlecenia nie spełnił, że po drodze schwytali go Tatarzy i oto z ran odniesionych zginął nieborak i nie mógł dać żadnego wyjaśnienia.

(d. c. n.)

List z Warszawy.

Odkiedy świat światem, odkiedy „Wieczory” Wieczorami, nigdy jeszcze korespondencja do tego stopnia się nie rozpanoszyła w Pisemku. A toż ja w trzecim N-rze z rzędu występuję z pisanem do was, drogie przyjaciółeczki moje i redakcja pozwala na to, ba, nawet wyraźnie pisać każe, przynajmniej, że inaczej być nie może. Bo jakże tu w sprawozdaniu pominąć dobre odpowiedzi, jakże znów nie odpisać wam, kochaneczki, za tak miłe liściki, któremi mnie zasypujecie? Jaka też ja szczęśliwa jestem, żeście mnie pokochały. O! bo położenie moje nie było łatwe, wspomnienie dawniejszych, zasłużonych korespondentów z Warszawy narażało mnie na porównania dość niebezpieczne. To też Sarenka z nad Moroczku, jedna z naszych staruszek, która po latach piętnastu i wyłączeniu z konkursów pozostała wierną Pisemku, z otwartością chwalebna wyznaje, że miała z początku uprzedzenie do mnie. Nie sądziła, abym potrafiła zastąpić poprzedników moich, którzy jęj sympatyą zjednali sobie... Pytasz, Sarenko miła, czy mię to wyznanie twoje nie obraża? Czyż może obrazić taki dowód oczywisty mego tryumfu? Skoro o tych uprzedzeniach wspominasz, widać, że już przeminęły, że zdołałam zdobyć twoje serduszko; pragnienie moje spełnione, cel dumnych marzeń osiągnięty. Wasza miłość, to duma moja, duma szlachetna i dozwolona, jedyna duma waszj Gołąbki.

Czeska Niezabudka to także staruszka, wierna „Wieczorom” i Kochanej Pani; nie uważa za ujmę swj godności czytywać Pismo, dla młodzieży przeznaczone, chociaż z dzieciństwa już wyszła, jest podobnie jak i ja, dorosłą panienką. Wdzięczna ci jestem niewypowiedzianie, droga Niezabudko, że i mnie darzysz zyczliwością swoją; liścik twj odczytałam głośno Kochanej pani, a żebyś wiedziała, jak ją ucieszył ten ustęp, w którym powiadasz, ty, dorosła osobka: „Nieraz, wierzaj mi, Gołąbko droga, spędziwszy kilka godzin w licznej towarzystwie na bezcelowej rozmowie, wracam z dziecinną radością niemal do utworów poważniejszej treści, naukowych i zajmujących, w „W. R.” drukowanych. Chociaż się prenumerują dla młodszego mego rodzeństwa, to jednak pragnę jaknajdłużj pozostać wierną ich czytelniczka”. Kochana pani powiada, że takie odezwy czytelniczek stokratnie jęj nagradzają pracę mozolną, z wielu przykrościami i trudnościami połączoną. Wy jesteście pociechą i osłodą jęj życia.

I ty przecież odezwałaś się do mnie, Różyczko Chińska! Czemuż nie chcesz nigdy do konkursów naszych należeć? Dziwisz się pewnie, że przemawiam do ciebie, jak do znajomej, chociaż nie podpisałaś się nazwiskiem prawdziwym. Ale ja jestem domyślna, odgadłam cię pod pseudonymem. Nosisz nazwisko wstawione piórem, po każdejli od wieszczą ród swj wywodzisz... cóż, czy nie odgadłam? Radabym bardzo bliższą znajomość zawiązać z tobą, Różyczko Chińska, bo wiem, że pomimo pseudonymu, jesteś miłym kwiateczkiem naszj rodzinnej niwy. Mam nadzieję, że pierwszy ten liścik nie będzie ostatnim, a drugi raz nie tak długo na odpowiedź czekać będziesz.

Jaskółeczka z nad Sekwany, jedna także ze staruszek, zawsze mnóstwo zajmujących rzeczy donosi z nadsekwańskiej stolicy. Teraz np. zawczasu opisuje różne ciekawe szczegóły o gotującej się tam wystawie. „Już zbudowano gmachy, w których stać będą maszyny, a są to ogromne gmachy! Wyobraź sobie, Gołąbko, że w jednym z nich mógłby się zmieścić cały plac Vendôme z kolumną, a Napoleon, stojący na szczycie kolumny, nie dotykałby dachu!” Dlaczego korespondencja twoja z Brzydotką z nad Tamizy była „nieszczęśliwą”, jak powiadasz? Nie rozumiem cię, Jaskółeczko, wszak liściki twoje do nięj zawsze były drukowane w „W. R.” bez zbytejnego opóźnienia. Ale posłuchajmy, co pisze dalej Jaskółka o swoich naukach; ucześnieza bowiem do Sorbony, słucha wykładów chemii i literatury, chemia ją nudzi!... O, Jaskółko droga, w tem się nie zgadzamy, zapaloną jestem miłośniczką fizyki, chemii i wszystkiego, co ma związek

z przyrodą. „Między kursami, pisze Jaskółka, jest pół godziny przerwy. Przez ten czas rozmawiamy z koleżankami po polsku. Zebyś wiedziała, jakie one czasem zabawne rzeczy mówią o francuzkich panienkach, które przy nas siedzą, a nie mogą żadnym sposobem zrozumieć, co my mówimy. Mamy także lekcyje rysunków i malarstwa. Raz na miesiąc jedna z koleżanek musi siedzieć przed nami, a my robimy jęj portret... niby! Biedaczka musi siedzieć nieruchomo przez całe godziny, słuchając, jak nauczyciel mówi do nas: Co za nos panienka rysuje! albo: ależ usta są mniejsze! My ze swj strony szepcemy: Podnieś oczy. Trzymaj się prościęj. A gdy nareszcie, po skończonej lekcyi, biedna uczennica wstaje, jakież okropne widzi rysunki, mające niby ją przedstawiać! Lecz nie przesadzajmy, są między nami takie, co ślicznie rysują, ale to mniejszość”.

Wyobraźcie sobie, że nasza Jaskółka widziała na własne oczy i słyszała każącego w kościele parafialnym pensyi owego kardynała Lavigerie, rzecznika niewolników afrykańskich, o którym czytaliśmy w „W. R.” w „Księdze pan. cz.” Wygląda bardzo poważnie z długą srebrną brodą, jako misionarz, w purpurze kardynalskiej.

Przybyła niedawno do naszj gromadki staruszek druga Jaskółka, także na obczyźnie, nad modrym Dunajem zamieszkała. Kochana pani pozwoliła mi zabrać list jęj ostatni, chociaż do nięj nie do mnie adresowany, a ja sądzę, że wam przyjemność sprawię, czytelniczki miłe, przytaczając z niego ustęp niezmiernie zajmujący. Ta korespondencja z różnych stron świata jest jakby nitką, wiążącą nas w jedną rodzinę, same to mówicie nieraz. Obiecujesz, Jaskółeczko droga, „często świegotać w oddalonyj Warszawie”, pamiętaj dotrzymać słowa.

„Chciałabym teraz, pisze Jaskółka z nad Dunaju, opisać Kochanej pani coś takiego, co ją pewnie zajmie. Mam tu na myśli instytucją jedyną w swoim rodzaju, zakład znany pod nazwą „Frauenwerbverein”. (Związek zarobku kobiet.) Na czele stoi komitet pań opiekunek, radzących nad sprawami bieżącymi, nad funduszami i t. d. Zakład mieści się we własnej, czteropiętrowej kamienicy i zawiera w sobie kilkanaście szkół oddzielnych, samostnych, niezależnych jedna od drugiej, jakoto: tak zwana „Bildungsschule”, odpowiadająca naszym sześcioklasowym pensjom o programie szkół gimnazjalnych; mająca swego dyrektora, profesora, damy klasowe. Dalej szkoła handlowa, ucząca buchalteryi i t. d., szkoły języków: francuzkiego, włoskiego, angielskiego, szkoła rysunkowa, malarstwa na drzewie, porcelanie, atłasie; szkoła robót ręcznych, kroju, szycia, prania koronek. Każda młoda panienka znajduje tu sposobność kształcenia się wedle upodobania lub potrzeby. To też jest uczennic mnóstwo. Fundusz z pobieranj opłaty służy na utrzymanie zakładu, pensye nauczycieli, różne ulepszenia, wreszcie na zapomogi dla niezamożnych uczennic. Wzorowa ta instytucja doskonale się rozwija, tembardziej, że pozostaje pod opieką cesarzowej. Corocznie przed Bożem Narodzeniem komitet opiekunek urządza wystawę gwiazdkową. W sali drugiego piętra i dwóch pokojach przyległych wystawione są rysunki, wachlarze malowane, pudełka, talerze, ekrany i inne ozdobne przedmioty. Dalej hafty złotem, srebrem, kunsztowne roboty, bielizna, suknie, wyroby włóczkowe i t. d. Wystawa trwa około tygodnia i tłumnie bywa odwiedzana, a większa część przedmiotów znajduje nabywców. Jakże dumne owe panienki, których stoliki zapełnione są kartkami: *sprzedane*.

„Czyż to nie błogosławieństwo prawdziwe, taki zakład? Zebyż to u nas coś podobnego założyć! Pożytek byłby wielki, ileż dziewnych znalazłoby możność zapracowania na siebie, lub pożyteczne zajęcia, by nie siedzieć z założonymi rękami po ukończeniu edukacyi. Ja także jestem uczennicą tego zakładu, uczęszczam do szkoły rysunku, do którego mam wielkie zamiłowanie i trochę zdolności. Oprócz tego chodzę na odczyty o sztuce, odbywające się co tydzień w sali posiedzeń. A trzeba Kochanej pani wiedzieć, że są tu obok sal do nauki przeróżne kancelarye zarządu, biblioteka, czytelnia, owa sala posiedzeń, jednym słowem państwo całe.”

Masz słuszość, droga Jaskółko z nad Dunaju, ułatwienie podobne do pożytecznego zajęcia, to prawdziwe dobrodziejstwo dla takich, jak my, niby to skończonych panien. Ale dla chcącego niema nic trudnego; i u nas w Warszawie jest teraz dużo szkół rękodzielniczych dla kobiet, niedawno powstała nowa pod kierunkiem pani Tokarzewskiej, osoby zacnej i wykształconej, osobiście znanej Kochanej pani naszej. A oto znów grono pań założyło „Bazar sprzedaży prac kobiecych” w hotelu angielskim, przy ulicy Wierzbowej. Jest to przedsiębiorstwo nadzwyczaj pożyteczne, każda pracownica może w tym sklepie zbyć robotę swoją, nie opłacając ogromnych procentów handlarzom spekulantom, wyszukującym bez miłosierdzia biedne kobiety. Wszyscy też powinni popierać ten zakład, kupując w nim jaknajwięcej, a nikt na tem nie straci, gdyż ceny mają być o ile możności umiarkowane. Polecam też gorąco mieszkańcom naszego miasta nowo otworzony Bazar.

A teraz, powtórzywszy wam, co świegocą Jaskółki ze stron dalekich, przytoczę z kolei ustęp z listu stałej korespondentki naszej, Królowny Salin. Są to wiadomości z cichego, wiejskiego zakątka ziemi naszej, nie wątpię jednak, że niemniej was zajmą od tamtych wieści z obcych stolic. Radabym wydrukować cały ten liścik, a z pewnością podobałyby się wszystkim prześliczny strój Królowny Salin, niezwykły i estetyczny, choć pełen prostoty, który mi opisała szczegółowo. Nie mogąc tego uczynić, poprzestaną na opisie wiejskiego domu jej wuja, gdzie ona spędziła pół roku, bo dom to wzorowy, jak słuszenie twierdzi kochana Królowna Salin. Posłuchajcie tylko:

„Wioseczka wuja jest niewielka, ma zaledwie 7 włók obszaru, ale za to ziemia dobra i doskonale zagospodarowana. Sam wuj ciężko chory na nogi, z trudnością i o kulach tylko chodzić może, siostra jego, (bo żonę stracił oddawna) zajmuje się z pomyślnym bardzo skutkiem całym domem i gospodarstwem mężkiem. Najstarsza z krewniaczek moich, dwudziestoletnia, ma pod zawiadowaniem swoim cały ogród owocowy i pasiekę, a oprócz tego uczy mnie i dwie młodsze swoje siostry, szyje dla wszystkich w domu suknie i bieliznę. Ośmnastoletnia jej siostra robi masło i sery z kminkiem z mleka od dwunastu krów wuja; wyroby te posyła do miasta gubernialnego dwa razy na tydzień wraz z owocami, warzywami, miodem i woskiem starszej siostry. Stara się oprócz tego zastępować ją przy naszych lekcjach, bo tamta już zaręczona, gdy za mąż wyjdzie, młodsza będzie musiała wziąć na siebie wszystkie jej obowiązki. Dwie najmłodsze, piętnasto i dziesięcioletnia, oprócz nauk, nie mają żadnego ważniejszego zajęcia, bo ciocia jest zdania, że do lat ośmnastu młoda dziewczyna o lekcjach wyłącznie myśleć powinna. Dlatego też dziesięcioletnia krewniaczka moja dla własnej przyjemności tylko hoduje króliki i gołębie, które potem rodzaje dzieciom na wsi i w pobliskim mieście. Druga, piętnastoletnia, ze mną spędza wolne chwile w stajni, przy ulubionej parze slicznych, białych kuców; sama je karmi, poi, czyści, siodła i zaprzęga, odbywamy też niemi we dwie wycieczki w pole i do wiosek okolicznych. Nareszcie, chcąc dopełnić wizerunku moich krewniaczek, muszę dodać, że wszystkie cztery są bardzo dobre, rozsądne i pracowite, włosy mają czarne i cerę śniadą, przyczem wyglądają trochę na cyganki i wszystkie niezmiernie podobne do siebie”.

O! moja droga Królowno Salin! Jakże mnie zachwyciłaś tym opisem, jakże kocham i uwielbiam te nieoszacowane krewniaczki twoje! Tego hajduczka miłego, co czyści i zaprzęga kuce, uściskaj odemnie po tysiąc razy. Czemuż ja nie mogę pofrunąć do was, jak gołąbka prawdziwa i obejrzeć to uroczę wasze astronie! Ale nie chcę przemilczeć opowiadania o Bożem Narodzeniu w tym domu patryarchalnym. Przedłuży się list, cóż robić, jeśli kto powie, że zadługi, zamilknę potem na rok cały. Posłuchajcie i osądźcie, czy to warte powtórzenia:

„W przeddzień wigilii ja z piętnastoletnią krewniaczką moją zaprzęglyśmy kuce do bryczki i zabrawszy jeszcze i najmłodsza, pojechaliśmy na wieś, o jaką wiorstę od domu oddaloną. Ciocia nadawała nam mnóstwo różnych zapasów,

i tak: biednej wdowie, mającej kilkoro dzieci, zawiozłyśmy mięsa, dwa sery, dwa duże placki pszenne, pół kwarty miodu i kwartę maku. Nasza najmłodsza dołądziła do tego od siebie dwa tłuste króliki, przywiezione w fartuszkach. Do dziesięciu innych chat (bo to mała bardzo wioseczka) wstępowałyśmy kolejno, aby się przełamać opłatkiem, a przytem rozdzielić pomiędzy gospodynie ryby ze stawu dworskiego, przez ciocię przysłane”.

Jakażeś ty szczęśliwa, Królowno Salin, że taki przykład masz przed oczyma! Słuszenie też ubolewasz nad tem, iż nie wszyscy podobnie postępują. Ileż dobrego uczynić można i na wsi, i w mieście, pamiętając tylko, żeśmy wszyscy równi wobec Boga, a zamożniejsi, oświeceni, mają obowiązki starszej braci dla młodszego rodzeństwa. Kochana pani gderać pewno nie będzie za przedłużenie listu tym ustępem, ona zawsze powtarza, że wzory z rzeczywistego życia czerpane skuteczniejsze daleko wywierają wrażenie od powiastek zmyślonych. A czyż może być piękniejszy, szlachetniejszy wzór do naśladowania? Co do zapytania, przy końcu listu wyrażonego, Królowno droga, odpowiedzieć na nie szczęście nie mogę, może rodzice lub wuj objaśnić cię potrafią.

Wielką przyjemność sprawiłaś Kochanej pani, Różycko biała, opisem zwyczajów i ubiorów ludowych w guberniach wołyńskiej i podolskiej. Ona bowiem w tych stronach się rodziła, spędziła tam młode lata i pamięta doskonale wesela, obchód „Kupały”, zna się na „połykach, namitkach, kiczkach byndach i kosnykach” wieśniaczek tamtejszych, a narzeczem ich doskonale mówi; zajała też w dzieciństwie „korowaje, warenki, pampuszki” i inne specjały podobne. Pamięta także prześliczne dumki, które śpiewała z przadkami. Kazała cię prosić, ażebyś się rozpytała u starych „didów” albo bab, czy nie znają czasem podania ludowego nadzwyczaj ciekawego o tak zwanych „Rachmanach”, małych ludzikach podziemnych, coś nakształt gnomów. W dzieciństwie bowiem nieraz z upodobaniem przysłuchiwała się Kochana pani takim baśniom, lecz na nieszczęście szczegóły później zupełnie jej z głowy wywietrzały.

Kulka śniegowa zaniepokoiła mnie i zasmuciła, wspomina w liściku o odpowiedzi konkursowej, jakoby przysłanej? Więc cóż się z nią stało? Wierzaj mi, Kulko droga, że jej nie oglądałam na oczy. Czyżby się ulotniła w drodze, jak kulka śniegowa na słońcu? Przykro mi to niezmiernie, bo chociaż dużo miałam roboty z licznymi wypracowaniami, żadnego przecież nie wrzuciłam do kosza, daję ci słowo.

Wierzba z nad Wisły odgadła widać, jak bardzo Kochana pani i ja także lubimy kwiaty i wszelkie wiadomości o roślinach. Pisze tedy Wierzba: „W Pieniakach w Galicyi, w powiecie Brodzkim, znajduje się piękna cieplarnia, pełna zamorskich roślin. Jest im tam bardzo dobrze, bo zamiast w doniczki, w ziemię są wsadzone i żyją, jak u siebie”. Otóż w tej cieplarni niedawno wydał kwiat i owoc piękny *Philodendron deliciosus*, znany powszechnie z olbrzymich liści, dziwacznie podziurawionych. Roślina ta jednak rzadko bardzo kwitnie i z zajeciem czytałyśmy obie z Kochaną panią opis Wierzy. Kwiatu nie widziała wprawdzie, tylko owoc dojrzewający w kolbie, duży, zielony, z ziarnkami osadzonemi w miększu, jak w kukurydzy. Smak przypomina ananas, ziarnka są kolące, jak szpileczki. Wierzba kosztowała tego przysmaku!

Śnieżyca, nieboraczka, musiała się zapisać do cechu staruszek. Pozostają ci zaszczytne wspomnienia, jak wysłużonym rycerzom, o ile wiem, niejednokrotnie brałaś nagrody na konkursach. Krasnolica uskarża się, że zimą smutno na wsi, Gosposia z nad Warty tegoż samego jest zdania. Ależ, moje drogie, wiosna straciłaby urok swój cały, żeby jej długa zima nie poprzedzała. Obie także te kochane czki obawiają się, by odpowiedzi ich do kosza nie poszły. Skromność udana, moje panienki! Nie nadawały się wcale do kosza.

O, moja Aleo! cóżes ty najlepszego zrobiła? Zwlekałaś z odpowiedzią na zadania konkursowe, aż tu paf! i kłam-



Ptaki zimowe.

ka zapadła, 15-ty roczek się skończył. Na to już niema rady, staruszeko, pisujże przynajmniej do mnie. A bardzo mi się spodobałaś, poprzyjaźniłybyśmy się z pewnością, gdybyśmy się poznały bliżej. Pytasz, czy ja się uczę jeszcze. O, moja droga! Człowiek przez całe życie uczyć się powinien, ja także do takich chcę należeć. Mądra do ciebie osóbką, Jesieni kochana; wiedziałaś, czem sobie zaskarbić wszystkie serca w naszej redakcyi. Postanowiłaś iść w ślady gospodyń wiejskich z powieści „Księżniczka” i „Dwie Siostry”, zostać pszczelarką, smażyć owoce, mleczyno urządzić. Śliczne zamiary, obyś je ziściła z pomocą Bożą. O zakładzie, który cię obchodzi, niestety! prawdziwe doszły do ciebie wieści, dlatego też i tym razem nic pocieszającego donieść ci nie mogę.

Piszczalka z nad Uszy i Sosna polska tytułują mnie „Szanowną Gołąbką”, czem tak ubawiły Kochaną panią, że

teraz mnie ciągle prześladowuje tą wielką powagą i szanowną nazywa, zwłaszcza jeśli się trochę roztrzęsę, co mi się zdarza niekiedy, szczerze wyznaję. Pytacie, kochaneczki, czy ja chcę z wami korespondować? Czy potrzeba o to pytać? Ja taka jestem szczęśliwa, ile razy mi nowa przyjaciółeczka przybędzie. Rezeda zapytuje o nagrody 3-go stopnia. Ależ to nie były nagrody, tylko „odznaczenie wzmianką zaszczytną”. Nagród i tak rozdano niemało 1-go i 2-go stopnia. Kureczka z nad Ikwy ciekawa, kto odpisuje na liściki w „Skrzynce do listów”. Sama Kochana pani we własnej osobie, ja czasem pomagam liściki odczytywać, zwłaszcza pisane różowym atramentem, ładnym, lecz niezbyt zdrowym na oczy. Błękitna kokardka i Biała Perelka nie zmęczą wzroku nikomu, bo ślicznie piszą. Czy przyjmę was do grona korespondentek? Drogie moje, do serdecznych przyjaciółeczek jesteście już zaliczone, równie jak Biała Ostróżka,

która mówi, że „nie śmiała”, tak, naprawdę, to nie żarty, nie śmiała pisać do Gołąbki pocztowej. Upewniam wszystkie nieśmiałe, że nie należą do ptaków drapieżnych, pseudonym zresztą o tem świadczy.

Nim list ten zakończę, moje drogie, muszę się z wami podzielić zachwyceniem, jakiego doznałam na przepysznym, nieporównanym koncercie naszego mistrza, pana Żeleńskiego, który tu przybył z Krakowa. Wyśmiewają zbyteczne zamiłowanie gry fortepianowej wśród panienek u nas; mają słuszną, szkoda czasu na brzdąkanie i to bez talentu po większej części, ale lubić muzykę nie jest śmiesznością. A ja wam powiem szczerze, że przepadam za muzyką i sama gram dość dużo, nauczyciel przyznaje mi talent. Muzyka, i to muzyka poważna, klasyczna, jak mówią, ma dla mnie urok niewypowiedziany. Najchętniej też grywam sonaty Beethovena, co, jak twierdzi mój nauczyciel, jest wyjątkowem upodobaniem w moim wieku. Bo chociaż wy mnie za starszkę uważacie, dla niego zamłoda jestem na Beethovena. Po Beethovenie zachwyca się Chopinem, no, i wielu innymi. Ten wstęp zmierza do tego, abyście uwierzyły, że się znam trochę na rzeczy i o koncercie pisać mogę.

Nazwisko pana Władysława Żeleńskiego, znane powszechnie, i dla czytelników naszych zapewne obcem nie jest. Znakomity kompozytor mieszkał dawniej w Warszawie, od lat kilku przeniósł się do Krakowa i tam wykończył operę „Konrad Wallenrod”, osnutą na tle poematu Mickiewicza. Inni kompozytorowie zwykle do oper wybierają treść niezbyt wysokiej wartości, główną uwagę zwracając na muzykę. P. Żeleński odstąpił od tego zwyczaju, za przedmiot do swęj opery wziął arcydzieło naszego wieszca. Śmiało to było przedsięwzięcie, bo muzyka musiała osiągnąć miary poezyi, i jakiej poezyi! A jednak kompozytor wywiązał się zaszczepnie z trudnego zadania, wykonana we Lwowie opera „Konrad Wallenrod” miała ogromne powodzenie, zjednała mu sławę wielką. I otóż nakoniec słyszeliśmy wyjątki z tęg opery, a oprócz tego inne kompozycje, zawsze dorabiane do słów Mickiewicza i różnych poetów pierwszorzędných.

Cóż ja wam mogę o tęg muzyce powiedzieć? Nie moją rzeczą jest wysoką jęg wartość oceniać, uczynili to znawcy, ja tylko powiem, że słuchałam z zachwyceniem, wszystko mi się podobało, i „Pieśń z wieży” i „Echa leśne” i wesołe ustępy muzyki tanecznej, ale najwięcej do serca mego trafiła cudna piosnka „Słowiczku mój”, słowa Mickiewicza: wszak każdy zna ten wiersz, ofiarowany Bohdanowi Zaleskiemu, wiersz taki śpiewny, o rytmie tak melodyjnym, jakby już sam w sobie był muzyką. Oj, muszę kończyć, gawędziłabym chętnie dłużej o tym koncercie, a tu strach zbiera; tyle już papieru zapisałam, nuż która powie: „Gołąbka za często, za długo nudzi”... ale nie wywołujmy wilka z lasu, bywajcie mi zdrowe, kochaneczki moje, nie zapominajcie o waszēj wiernēj

Gołąbce pocztowej.

P. S. Przychodzę do redakcyi z rękopisem wykończonym i podpisanym, a tu Kochana pani wita mnie wykrzyknikiem: Zgadnij, Gołąbko, od kogo list nadszedł! Jest zguba nasza kochana! — i pokazuje mi zdaleka liścik, ale ja dopatrzyłam pisma i poznałam je odrazu, więc wołam z radością: Palma, Palma! Cóż to było, dlaczego milczało tak długo to marnotrawne dziecko? O, droga Palmo! Jakże ty mogłaś przypuszczać, że tu o tobie zapomniano? I ja także, jak się okazuje, niesłusznie cię nazwałam dzieckiem marnotrawnem, bo nie przestałaś myśleć o nas, chociaż napisać nie mogłaś. Winszuję ci pomyślnego załatwienia ważnej sprawy z owym egzaminem, dotrzymajże, kochanko, przyrzeczenia, w chwilach wolnych od nauki prześlij nam chociaż słówko wiadomości o sobie, bo my cię bardzo, bardzo serdecznie kochamy.

Ptaki zimowe i wiosenne.

Zima w tym roku zawzięcie walczyła z wiosną, mrozy dłużej niż zwykle ścinały wodę na rzekach i opóźniły rozwój

roślinności. Lecz Kwiecień musi wreszcie odnieść zwycięstwo nad zimą, świeżą zielenią przystrojają się lasy i niwy, a ptactwo wędrowne powróci z leży zimowych i żwawo zabierze się do budowania gniazd dla swęj dziatwy. Za to odlecą do stref zimniejszych goście nasi zimowi, owe ptaki północne, o których opowiadaliśmy czytelnikom niedawno. Dziś na pożegnanie z wędrowcami, opuszczającymi nasze okolice, podajemy wizerunki dwóch gatunków, o których wspominaliśmy poprzednio; rysunek przedstawia łuskowce i krzywdzioby, zajęte obgryzaniem szyszek sosnowych.

Z wiosennych ptaków najwcześniej powraca do nas ze stref południowych miły skowronek, pojawia się także wraz z pierwszemi cieplejszemi powiewami i kos, zaczyna gniazdo urządzać i gwizdać wesoło. Ale kos nie opuszcza kraju naszego na zimę, a jeżeli go nie widzimy podczas mrozów, to dlatego, że się nie odzywa i ukryty w gąszczach leśnych czeka powrotu ciepła.

Wcześniej także, często przy końcu Marca, a na początku kwietnia z pewnością, usłyszeć można po lasach i gajach głos kukułki, który nie jest właściwie śpiewem, nie może się porównać z piosenką innych ptasząt, a jednakże dziwny, niewypowiedziany ma urok. Znakomity kompozytor muzyczny Beethoven w jednym z najpiękniejszych swych utworów, symfonii pasterskiej, wśród różnych odgłosów wiejskich zamieścił także i nawoływanie kukułki.

Ptak ten jednakże nieszczególniej używa sławy; któż nie słyszał o niepoczciwym zwyczaju samicy, która nie chce gniazda urządzać i siedzieć na jajach, lecz podrzuca je innym ptakom, znanym z macierzyńskiej troskliwości. Czy tylko naprawdę nie chce? Czy też nie może wypełniać tych powinności, przyrodzonych wszystkim ptakom, wszystkim istotom żyjącym? Nie umieją na to stanowczo odpowiedzieć przyrodnicy, przypuszczają jednak powszechnie, że muszą być ważne jakieś przyczyny, nie pozwalające kukułce siedzieć spokojnie i przykładnie na jajach, jak inne ptasie samice. Nie jest ona przecież złą i nieczułą matką, skoro nie opuszcza jajka, nie pozostawia go na pastwę losu, lecz oddaje na mamki, dobierając nawet, o ile można, gniazda ptaków owadożernych, aby pisklę miało pokarm stosowny.

W ostatnich czasach w Niemczech podpatrzono nowe i ciekawe szczegóły z życia kukułek. Jeden miłośnik przyrody śledził skwapliwie gniazdo, w którym się hodowało pisklę kukułcze i spostrzegł raz matkę rodzoną, to jest kukułkę, zakradającą się ostrożnie podczas nieobecności właścicieli gniazda. Widział na własne oczy, jak się zbliżyła, zajrzała do środka, a po chwili znów odleciała. Obawiając się spłoszyć ptaka, ów pan musiał się trzymać zdaleka, nie mógł więc dopatrzeć, co tam robiła kukułka w cudzem gnieździe, lecz po oddaleniu się jęg ze wzruszeniem obaczył jedno z drobnych pisklątek dogorywające na ziemi pod gniazdem. Domyślił się, że to było gospodarstwo macierzyńskie kukułki: uduśiła i wyrzuciła dziecię domu dlatego, ażeby przybłęda miała lepsze wygody i większą obfitość żywności.

Inny Niemiec, nadleśny rządowych lasów, widział rzecz jeszcze dziwniejszą i ciekawszą: oto wysledził gniazdo, a w niem siedziała na jajach kukułka! Tak, owa osławiona kukułka spełniała najprzykładniej obowiązki dobrej matczki, ogrzewała własną pierśią cztery jajka, ale z jednego tylko wykluło się pisklę, reszta uległa zepsuciu.

Niema więc reguły bez wyjątku, w jakichś szczególnych, wyjątkowych okolicznościach i kukułka potrafi gniazdo urządzać, siedzieć na jajach i o potrzebach potomstwa pamiętać. Leśnik ów był świadkiem najtroskliwszych starań matki kukułki, gdy pisklę wyszło z jajka, przynosiła mu żywność i pielęgnowała, póki się nie opierzyło i nie wyleciało z gniazda.

Kukułki śmiało mogą być zaliczone do ptaków pożytecznych dla człowieka, zjadają bowiem ogromną moc liszek kosmatych, szkodliwych bardzo dla roślin, a któremi inne ptaki się brzydzą. Jakkolwiek po lasach naszych nie brak kukułek, a głos ich słyszeć się daje przez całe lato, nielatwo je obaczyć z bliska, gdyż są nadzwyczaj dzikie i płochliwe.

PIERWSZA WYCIECZKA MYŚLIWSKA

MŁODYCH OSADNIKÓW AMERYKAŃSKICH,

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

XIII.

W mocy nieprzyjaciela.

Biedny Wiluś! Z taką ostrożnością i roztropnością spełnił zadanie swoje, tak się wszystko szczęśliwie powiodło, trzebaż, aby przypadek nieprzewidziany popsuł mu wszystkie szyki w chwili, gdy tryumfował już w duszy. Ujrzawszy nagle przed sobą olbrzymią postać wojownika indyjskiego, chłopak na chwilę oniemiał. Pomimo lat młodocianych, pojmował doniosłość niebezpieczeństwa, miał jednak słabą nadzieję, że Indyanin nie wyrządzi mu krzywdy, jeżeli go powita po przyjacielsku.

— Dzieńdobry — wyrzekł głosem, któremu usiłował nadać dźwięk spokojny. Ręki nie wyciągnął do Indyanina, na to mu zabrakło odwagi, lecz skinąwszy mu głową, chciał iść dalej swoją drogą, jakgdyby to było najprostszą w świecie rzeczą. Ale sprawa się nie udała, wojownik popatrzał z góry na niego, potem o krok się cofnął i stanowczo, nie wymówiwszy ani słowa, zastąpił drogę młodemu wędrowcowi. Wytrzymałszy go przez chwilę pod naciskiem swego przenikliwego wzroku, Indyanin odpowiedział wreszcie na powitanie.

— Dzieńdobry — i podał szeroką dłoń swoją chłopcu, który nie bez pewnego wahania jęj dotknął. Indyanin potrząsnął ręką Wilusia po kilkakrotnie i ścisnął ją mocno, co wyglądało na przyjacielskie powitanie. Chłopiec spojrział na twarz olbrzyma; była niezwykle brzydka, niemiła, szpecił ją szczególnie nos wykrzywiony, jakby przełamany w skutek jakiegoś wypadku. Miał najmniej sześć stóp wysokości, plecy stosownie do wzrostu szerokie i silnie był nadzwyczaj zbudowany. Strój jego świadczył, że należał do plemienia Wyandotów, za pasem miał tomahawk, to jest siekierkę wojenną i duży nóż myśliwski. Zamiast strzała i łuku, zwykłej broni indyjskiej, którą nie gardził nawet wódz Hua-awa-oma, spotkany zrana przez Janka, olbrzymi wojownik niósł w ręku długą, piękną rusznicę, a róg z prochem wisiał na taśmie u jego boku.

Przywitałszy się w sposób na pozór przyjazny z Wilusiem, Indyanin najobojętniej sięgnął ręką i odebrał mu jego strzelbę, a podnosząc ją w górę, rzekł po angielsku:

— Niech błdy chłopiec idzie za mną.

Wskazywał przytem w stronę obozu sposobem stanowczym, nie pozostawiającym żadnej wątpliwości, że go uważał za swojego jeńca. Nie było rady, chłopak nie namyślał się długo, bo na cóżby się to przydało? Usłuchał odrazu, ulegając przemocy, rozumiał doskonale, że gdyby poprobował oporu, ten siłacz mógłby go jedną ręką zgnieść, jak muchę.

Wiluś nasłuchiwał się niemało o czerwonoskórych krajowcach i ich obyczajach. Myśliwi i traperzy, którzy zachodzili do domu jego rodziców, opowiadali różne wstrząsające przygody, czy to swoje własne, czy innych Europejczyków, mających do czynienia z Indyanami. Dzieci słuchały tych opowiadań z nieminiejszą uwagą, jak starsi, to też chłopak wiedział, że kto miał nieszcześnie dostać się w niewolę Indyan, powinien był wszelkich starań dokładać, aby ich nie drażnić. W gniewie bowiem nie przebierają w środkach, zemsta ich jest straszna, nie tylko śmiercią, lecz męczarniami karzą jeńców, do których złość jaką mają.

Poszedł więc biedny chłopak rad nie rad za prześladowcą swoim, usiłował nawet nadrabiać miną, uśmiechać się do niego, a gdy przybyli do obozu, przywitał z wielką uprzejmością innych wojowników, siedzących przy ognisku. Potem

usiadł spokojnie na pniu obalonego drzewa i zaczął się przypatrywać zgromadzeniu. Ze wszystkich obecnych Indyan najwstrętniej wyglądał ten olbrzym, który go wziął do niewoli. Nietylko nos złamany i wykrzywiony, lecz niezwykle szerokie usta nadawały mu wyraz nieprzyjemny, chociaż z ust tych szpetnych wyglądały piękne białe zęby, jak zwykle bywa u Indyan. Oczy przeciwnie miał małe, ukośne, jak u Chińczyka. Otaczały je czarne, namalowane obrączki, a i reszta twarzy pokryta była rysunkami, które jęj wcale nie dodawały wdzięku. Inni podobniejsi byli do ludzi, zawsze jednak niezbyt przyjemne wrażenie wywierali na młodego jeńca.

Różne myśli snuły się po głowie jego, podczas gdy spoglądał z pod oka na dzikie te postacie. Przedewszystkiem, rozumie się, usiłował odgadnąć, co też Indyanie z nim myślą zrobić. Wszystkie prawie plemiona czerwonoskórych, zamieszkałe na wybrzeżach rzeki Ohio, w rozległych puszczech prowincji Kentucky, słynęły z okrucieństwa dla białych ludzi. Jeńców zazwyczaj mordowano, poddając ich wprzód najstraszliwszym męczarniom. Niezbyt dawno oddział wojskowy angielski pod dowództwem pułkownika Crawford'a wysłany był przeciw Indyanom, dopuszczającym się strasznych bezprawii, lecz nie zdołał ich pokonać, przeciwnie; pułkownik Crawford doznał dotkliwej porażki, dostał się do niewoli wraz z kilkunastu towarzyszami, wszyscy zginęli okrutną śmiercią, uwięzieni do palów i zwykłym obyczajem Indyan poddani długim męczarniom. Wiluś znał dobrze te okropne dzieje i wiedział, że wpadł w ręce zawziętych nieprzyjaciół białych ludzi. A jednak nie tracił nadziei, że jeszcze może wyjść obronną ręką z tej przygody.

— Czy oni tam będą tak bardzo dbali o mnie — myślał sobie, pocieszając się w duszy i dodając sobie otuchy — taki jeniec niewiele znaczący dla nich, posiedzę cierpliwie, a potem mnie wypuszczą. Tylko strzelby z pewnością mi hultaje nie oddadzą, trzeba się z nią pożegnać. Cóż robić, dziej się wola Boża, dobrze przynajmniej, że Janek i Jurek nie dostali się razem ze mną do niewoli.

A myśląc o towarzyszach, Wiluś zaczął się oglądać na wszystkie strony niespokojnie, jakby w obawie, ażeby się nie ukazali czasem. Wyandoci zauważyli te ukradkowe spojrzenia chłopca, i to im zaraz dało do myślenia, że musi liczyć na jakąś pomoc i wygląda zapewne przyjaciół, z którymi się rozstał w lesie. Nie rozumieli jego myśli, chociaż nie pomylili się co do tego, że myśli te do towarzyszków się zwracały.

— Co oni tam robią teraz? — mówił sobie w duszy Wiluś — mieliśmy wszyscy trzej śledzić tych ichmościów, oni zaś nie wiedzą, że ja już swoje zrobiłem, tylko nie mogę im dać znać według umowy; więc muszą obaj się skradać do obozu, a gdy podpatrzą, co się tu dzieje, gdy mnie obaczą w obozie, w mocy czerwonoskórych... ciekawa rzecz, co oni zrobią? Ha! coż oni zrobić mogą? Gdyby był sposób mnie ratować, nie wahaliby się pewnie nawet z narażeniem własnego bezpieczeństwa nieść mi pomoc. Ale toby się na nic nie przydało. Ja sędzę, że pośpieszą do domu ojca i o wszystkim go uwiadomią. Ale nie wiem, czy i ojciec co poradzi przeciw tym siłaczom. To prawda, że ojciec może się udać o pomoc do innych osadników i zebrać całą gromadkę ludzi dobrze uzbrojonych. Nim to jednak nastąpi, dużo czasu upłynie, los mój zapewne prędkiej będzie rozstrzygnięty.

Wiluś nie mylił się w tem przypuszczeniu, Indyanie oczywiście radzili o tem, co z nim począć mieli, widoczne to było z ich ruchów i spojrzeń, rzucanych na jeńca, podczas gdy wszyscy szczęściu w niezrozumiałym swoim języku rozmawiali. Narada ta trwała nie więcej, jak dziesięć minut, wreszcie jeden z czerwonoskórych wojowników, ten właśnie, który nakładał fajkę w chwili, gdy Wiluś przybył do obozu, powstał, postąpił parę kroków i stanął przed chłopcem. Indyanie, mający dość częste stosunki z białymi osadnikami, po większej części angielskiego pochodzenia, chwytali zwykle po trochę angielskich wyrazów i umieli się rozmówić przynajmniej o tyle, że ich zrozumieć było można.

Lecz rzadko zdarzało się spotkać pomiędzy nimi tak biegle mówiącego po angielsku, jak ten, który teraz do Wilusia odezwał się w te słowa:

— Zkąd blada twarz się tu wzięła?

— Przyszedłem z domu moich rodziców — odpowiedział spokojnie Wiluś, wskazując ręką na północ, gdyż w tej stronie rzeczywiście znajdowała się osada Burtonów.

— Jak imię bladej twarzy? — spytał znów Indyanin.

Wiluś i na to pytanie odpowiedział, a tamten zaczął kiwać głową, jakby chciał przez to wyrazić, że okoliczności, tyczące się tej osady i jej właściciela, nie były mu obce. Pociągnął kilka razy ze swojej fajki i pytał jeszcze:

— Czy blade chłopiec sam jeden tu przyszedł?

— Nie — odrzekł Wiluś, wiedząc, że ukrywanie prawdy na nic się nie przyda — przyszedłem z bratem i synem sąsiada.

d. c. n.

ZADANIE KONIKOWE.

(Ułożył Wołyniak dla Różyczki białej wołyńskiej).

		Kto	dy		
		u	in		
dzie	się	nig	ła	przy	nym
dzie	tnie	ła	nie	nie	cie
		bę	ja		
		chę	mieć		

Krzyż z podstawą.

(Od Amazysa dla Z... i D... w Warszawie).

1
11 . . . 15
16 18
19 . . . 23
24 . . . 10 . . . 30

1—10 Znakomity poeta polski. 10—15 Ptak. 16—18 Rzeka w Afryce. 19—23 Miasto nad morzem Śródziemnem. 24—30 Mieszkaniec południowej Europy.

HOMONIMY (Mechanik).

Wszędzie znajdziesz mnie łatwo, lecz tylko nie w nocy,
Wciskam się w każdy kącik, ile jest w mej mocy,
Pseudonymem też jestem znanego pisarza,
Który ludowi oświaty przysparza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Łamigłówki głoskowej:

R a d a.

Łamigłówki kryształowej:

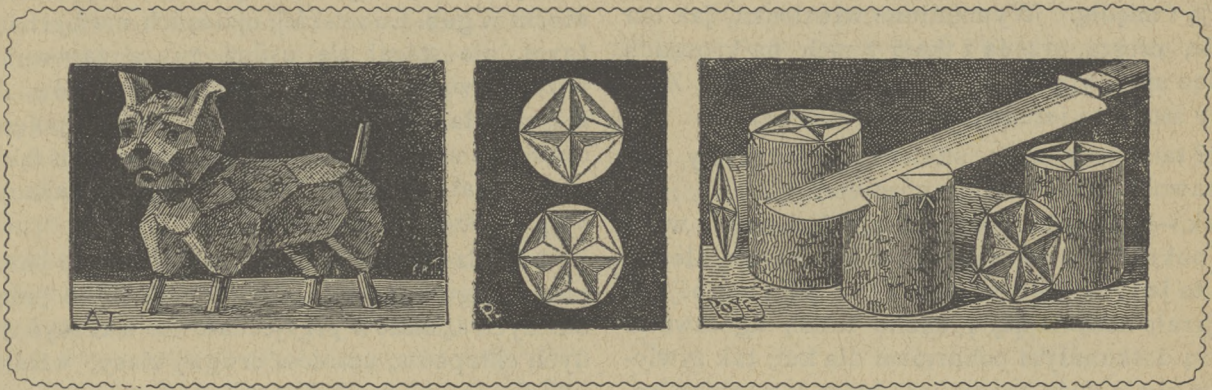
D
I Z A
O W I E S
Z A L E S K I
K A T E C H I Z M
D Z I E C I K L A N U
K A R A K O R U M
K I E L N I A
P R A C A
O N A
U

REBUS.



Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Czarodziejski młynek (z drzew.). — Najnowsza powieść Deotymy (c. d.). — List z Warszawy. — Ptaki zimowe i wiosenne (z drzew.). — Pierwsza wycieczka myśliwska młodych osadników amerykańskich, przekład z angielskiego (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Zabawki domowej roboty (z drzew.). — Na zakończenie zimy, wiersz p. M. Ziel. — Pokrzywa p. Arę. — Ślizgawka, opowiedziała Wiochna z pod Lublina. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy.** Dzieci Klanu, powieść przez Joannę Hering (p. Adams-Acton) przełożona z angielskiego przez T. P.



Zabawki domowej roboty.

ZABAWKI DOMOWEJ ROBOTY.

Oto znów macie model pieska korkowego. Tu już zapewne nie potrzeba wcale tłumaczyć, jakim sposobem z dużego korka wycina się czy raczej wyrzeźbia, bo to już zakrawa na robotę rzeźbiarza, cały tułów zwierzątka. Nóżki i ogonek przyprawia się pieskowi z drewnienek od zapalek, nosok i pyszczek przysmała się zapalką rozżarzoną, a oczki urządzić można, czy to tym samym sposobem, czy też wciskając czarne pacioreczki w malutkie szparki, w korku przekłute.

Obok pieska widzimy figurki geometryczne, trzeci rysunek, na prawo umieszczony, wskazuje, jakim sposobem za pomocą ostrego noża wyciąć je można. Kto się uczy geometrii, a zwłaszcza mineralogii i ma wyobrażenie o symetrycznych kształtach kryształów, potrafi zapewne przy zręczności wyrzynać różne ładne figury podobne.

NA ZAKOŃCZENIE ZIMY.

Świat się toczy, śnieżek leci,
Świeży, biały, coraz nowy,
Mróz nieduży, słońce świeci,
Na ślizgawkę biegną dzieci,
I na śnieżki wśród zamieci,
Ten do książki, ów na łowy.

Miła jesień, miłe lato,
A najmiłszą wiosna zda się...
Jednak, strojna srebrną szatą,
Mroźna, ale zdrowa za to,
Zima krzepka z ciepłą chatą
Też jest miłą w swoim czasie.

Ma i życie cztery pory,
Pamiętajcie, o tem dziatki;
Wiosną siejba, latem zbiory,
A jesienią żniwiarz skory
Cnoty, wiedzy, zapas spory
Skrzętnie zwozi do swęj chatki.

Kto do pracy wstrętu niema,
Na wartości czasu zna się,
Temu miłą będzie zima,
Krzepka zima w swoim czasie.

M. Ziel.

POKRZYWA.

— Ach! te okropne pokrzywy, na co one rosną — mówiła siedmioletnia Gucia nawpół z płaczem, pokazując swęj mamie obie ręce obsypane prawie bomblami.

— A cóż ty zrobiłaś? — zapytała pani B. z niepokojem.

— Ja nic, mamusiu — wyjąkała dziewczynka — ja nic, tylko te okropne pokrzywy.

— Jakto pokrzywy? przecież one same do ciebie nie przyszły, musiałaś wejść między chwasty, twoja więc w tem wina.

— A no, ja weszłam, ale ich nie dotykałam, tylko chciałam zerwać gałązkę bzu, a za kwiatem pociągnęła się i pokrzywa i uderzyła mię po rękach.

— Wielkie to jeszcze szczęście, że nie po oczach — odrzekła matka — ty zawsze jesteś nieuważna, sama zawiniłaś, a składasz to na pokrzywę.

— Alboż ona niewinna, że rośnie tam, gdzie jęj nie proszą? Alboż ona potrzebna na co? — tłumaczyła się zmartwiona Gucia.

Pani B. uśmiechnęła się na te słowa córeczki i posadziwszy ją przy sobie, rzekła:

— Już muszę dla rozerwania cię w twem cierpieniu opowiedzieć ci coś ciekawego o tęj „okropnęj” pokrzywie, a przekonasz się, że nic niema niepotrzebnego, co tylko Pan Bóg stworzył.

Gucia, zapomniawszy na razie o bolących rączkach, wpatrzyła się w matkę, która tak dalej mówiła:

— Pokrzywa jest jedną z najwytrwalszych roślin, wytrzymuje ona wielkie upały i wielkie zimna, i nie potrzebuje żadnęj uprawy ziemi, sama bujnie wyrasta, dochodząc nieraz do półczwarta łokcia wysokości. W niektórych miejscowościach w połowie Sierpnia, gdy już

dojrzeję, biorą ludzie na ręce rękawiczki, obcinają ją przy ziemi, rozścielają dla wyschnięcia, obrywają z niej liście, wiążą w snopki i wysuszywszy przy piecu, moczają w stawie przez tydzień. Wyjąwszy zaś z wody, znowu ją wysuszają i międlą. Wymiędlone włókienka, jak len lub konopie, czeszą, przędą i tkają z nich na krosnach bardzo ładne materyjki, do jedwabnych podobne. Z takiej tkaniny zrobiona jest twoja nowa sukienka.

— Co? ta śliczna moja sukienka z pokrzywy zrobiona? — zawołała Gucia ze zdumieniem?

— Tak — odrzekła matka z uśmiechem — w tę „okropną” pokrzywę stroisz się z zadowoleniem, ale nie myśl, aby to jedyny był użytek z tak pożytecznej rośliny. Dojrzałe nasiona jej i suche liście, ugotowane w wodzie, są doskonałym pokarmem dla kur; tak żywione, potem w zimie dużo znoszą jaj, które tak lubisz; korenie zaś pokrzywy dają bardzo piękną żółtą farbę.

Oprócz tego liście pokrzywy są zdrowem pożywieniem dla krów, gdyż nie tylko przyczyniają się do dobroci mleka, lecz chronią bydło od wielu chorób i czynią smaczniejszym jego mięso. Mięso surowe, chcąc przechować w lecie, okładają świeżą pokrzywą; gotowane zaś z jej liśćmi staje się miękkim i dłużej się utrzymuje niezepsute. Nakoniec dla trzody chlewniej i kaczek siekają świeżą pokrzywę, mieszając ją z plewami lub osypką, który to pokarm bardzo im smakuje.

Gucia, wysłuchawszy z uwagą słów matki, ucałowała jej ręce za tak ciekawe objaśnienia i postanowiła wystrzegać się na przyszłość: 1) szkodliwej nieuwagi, 2) składania na kogoś własnej winy i 3) nazywania jakiejś rośliny lub zwierzęcia „niepotrzebnem”, jak dotąd często czyniła.

Bo wszelkim tworom sam Bóg cel naznacza;
On ma w swój pieczy trawkę, zwierzę, człeka,
I od nędzarza aż do bogacza
Wszędzie rozciąga się Jego opieka.

Ara.

ŚLIZGAWKA.

Opowiedziała Wiochna z pod Lublina.

— Janku—mówiła grzecznie ośmioletnia Marychna do starszego o dwa lata braciszka — mój złoty, jedyny Janeczku, przewieź mię trochę twemi saneczkami.

— A pewnie, miałbym też dla kogo się trudzić, dla takiej małej, niemądrej dziewczyny. Ani myślę brać cię z sobą na lód, zawadzałabyś tylko.

— Mój Janku — prosiła Marychna, składając błagalnie rączki — nie mówię już o ślizgawce, ale saneczkami to naprawdę mógłbyś powozić mię trochę, choćby kwadransik, jeśli nie chcesz dłużej...

— Nie nudź! — zawołał Janek z gniewem — mówiłem już raz, że cię nie wezmę i koniec. Cóż za nieznośne stworzenia z tych dziewcząt!

Marychna nic nie odpowiedziała, schyliła tylko główkę, by ukryć dwie duże łzy, błyszczące w jej morderczych oczach, podczas gdy brat jej, nie zwracając już na

nią wcale uwagi, chwycił ze stołu barankową czapkę, ciepłe rękawiczki, i z wielkim stukiem i hałasem wybiegł szybko z pokoju.

Janek i Marychna byli dziećmi właściciela ładnej wioski w gub. Lubelskiej; ojciec ich nie był bardzo zamożnym, ale starał się usilną pracą zapewnić rodzinie wszelkie wygody, jakkolwiek bez zbyteków. Matka sama uczyła Marychnę, dobrą, miłą i pojętną dziewczynkę, a stary nauczyciel, poczciwy pan Aloizy, przygotowywał do szkół Janka, który od wakacyj miał iść do pierwszej klasy w Lublinie.

Rodzeństwo kochało się bardzo i bawiło zawsze razem a zgodnie, ale zdarzyło się, że do jednego z najbliższych sąsiadów przyjechało na wakacje dwóch młodych chłopców, uczniów drugiej klasy, właśnie w roku, gdy Janek ukończył dziesięć lat i uważał się już za bardzo poważnego człowieka. Janek, który dotąd poprzestawał jedynie na towarzystwie siostrzyczki, zachwycony był obecnością rówieśników, którzy uważając go za zawsze trochę za „sztubaka”, według szkolnego wyrażenia, uczyli jednak wielu studenckich figłów, wydających mu się najwyższą mądrością. Powoli, przebywając ciągle z tymi starszymi towarzyszami, zaczął się wstydić dawnych dziecinnych zabaw z siostrą, a gdy Marychna, nie domyślając się niczego, prosiła go raz przy studentach, żeby pan doktor odwiedził jej pannę Zofię, która się czuje niezdrową, bo spadła ze stołka i kawałek palca złamała, chłopiec zaczerwienił się jak indor i odparł z wielkim gniewem: „żeby mu raz dała pokój ze swemi prośbami, bo nie jest babą, tylko mężczyzną i nie znosi lalek”.

Wyrażenia tego „nie znoszę” nauczył się także od swych nowych przyjaciół, którzy nie znosili bardzo wielu rzeczy, szczególnie zaś łaciny i algebry, zadanej na wakacje, ale trzeba przyznać, że pomimo wszystkiego Wacek i Stefan byli grzecznymi chłopcami, umiętającymi zastosować się do każdej okoliczności, gdy z Jankiem działo się przeciwnie. Ten nie bardzo rozsądny chłopczyk wyobraził sobie, że przestając z dwuklasistami, sam nabrał powagi conajmniej profesora łaciny, o którym chłopcy często ze strachem wspominali. Powaga ta ujawniała się bardzo widocznie w postępowaniu z siostrzyczką, której w nader niegrzeczny sposób powtarzał często:

— My mężczyźni nie zadajemy się z takimi niemądremi kozami, jak dziewczęta.

Łagodna i nieśmiała Marychna coraz rzadziej odważała się zbliżyć do brata, a w końcu bawiła się już zawsze sama, lub z roczną siostrzyczką Anią, czekając niecierpliwie ukończenia wakacyj, w nadziei, że po wyjeździe „panów studentów”, jak ich z uszanowaniem nazywała, Janek stanie się znowu dawnym dobrym braciszkiem. Wakacje te przeszły wreszcie i stosownie do oczekiwań Marychny Janek, w braku lepszego towarzystwa musiał zadawałniać się zabawą z siostrą, a dobra dziewczynka bez żadnych grymasów tak chętnie przyjęła jego zbliżenie, jak cierpliwie zносиła odpychanie i pogardliwe miny.

Tymczasem nadeszło Boże Narodzenie, a z niem przyjazd Stefana i Wacka, co było przyczyną niegrze-

cznych słów Janka na nieśmiałą prośbę siostry przewiezienia jej saneczkami, otrzymanymi przed kilku dniami na Gwiazdkę od dobrego tatusia.

Po hałaśliwym oddaleniu się brata, Marychna długą chwilę siedziała na tem samym miejscu smutnie zamysłona, potem wstała cichutko, żeby nie obudzić Ani, śpiącej w drugim pokoju, ubrała się ciepło i przewiesiwszy przez rękę łyżwy, wyszła także, kierując się w stronę długiego stawu, który rozciągał się na dobre pół wiorsty. Z namowy Janka jeszcze przeszłego roku zaczęła się uczyć ślizgać, ale ponieważ zima była lekka, bez sanny i mrozów, nie dużo mogła skorzystać, dla tego na lód puszczała się tylko z pomocą brata. Dziś jednak postanowiła sama się odważyć najpierw, żeby pozostaniem w domu nie wywoływać zapytań rodziców i nie oskarżać Janka, a powtórę piękna pogoda i gładki lód wabiły ją jakoś i dodawały ochoty do wypróbowania sił swoich.

Za pole swych popisów obrała przestrzeń koło kuzni, zdala od łązienki, zwykłego miejsca ślizgawki, gdzie już chłopcy się znajdowali, bo nie chciała drażnić brata. Dochodziły ztamtąd wesołe okrzyki, śmiechy i rozmowy. Marychna, przystońszy rączką oczy, gdyż słońce dosyć mocno przygrzewało, ciekawie spoglądała w stronę, z kąd uszu jej dobiegała wesoła wrzawa; oprócz paniczów bowiem zebrało się tam kilku wiejskich malców, którzy z szeroko otwartymi ustami przypatrywali się ochoczym gonitwom na łyżwach. W końcu Wackowi znudziła się ta zabawa, wsiadł do saneczek, które ciągnione przez dwóch synków kowala, jak strzała pomknęły po gładkiej powierzchni. Na ten widok Marychna smutnie westchnęła, taką miałaby ochotę przewieźć się temi ślicznymi saneczkami...

Zamiast jednak płakać lub złościć się, jakby to niejedna dziewczynka na jej miejscu uczyniła, postanowiła na pociechę zabawić się sama, jak mogła, i usiadłszy na kładce, przerzuconej przez staw, dla połączenia zabudowań dworskich ze wsią, zaczęła zakładać łyżwy. Nie dość silna, żeby rzemyki porządnie zaciągnąć, nie zważała jednak na to i śmiało zaczęła się posuwać naprzód. Lód w tem miejscu był nierówny i chropowaty, Marychna upadała co chwila i kilka razy potłukła się nawet bardzo. Nie zważając na to, szła coraz dalej i wyszła nakoniec na gładszą trochę powierzchnią. Uszczęśliwiona tem odkryciem, puściła się naprzód jeszcze odważniej, wtem noga jej się pośliznęła i jak długa padła na lód. Krzyknęła boleśnie i obu rękami chwyciła się za głowę, gdyż uderzywszy się o ostry kamyk, zraniła bardzo czoło. Straciła już ochotę do ślizgawki i z trudnością wstrzymując łzy, udała się do domu, a tu, żeby nie przestraszać dobrej mamy, sama sobie obwiązała czoło wilgotną chusteczką.

Gdy Janek nareszcie powrócił z lodu, pożegnawszy swych towarzyszy, była już szara godzina i mrok zaległ zupełny. Rodzice krzątali się koło gospodarstwa. a w iadalni, w ulubionym kąciку za kretonową fiandy oknem a kanapą, siedziała Marychna, o łączą główkę o twardą poręcz krzesła. Ci ukołysały ją do snu i drzemała właśnie spo zbudziło ją nagle niecierpliwe wołanie Janka

— Hej! jest tam kto? Kaśka!

Pokojówka Kasia wyszła już dosyć dawno po węgle do samowara, nikt więc nie odpowiedział na wykrzykniki Janka.

— Kasia! — powtórzył tenże jeszcze głośniej — czy nie słyszysz, że cię wołam? chodź lampę zapalić!

— Kasi niema, nie krzycz tak, Janku, bo obudzisz Anię — odezwał się cichy głosik z za firanki.

— Ach! to ty, Marychno, już siedzisz za firanką? czyś zła na mnie?

— Wiesz, Janeczku, że ja się nigdy na ciebie nie gniewam.

(d. c. n.)

Łamigłówka kryształowa.

(Ułożona przez Świderka dla Wróbelka z nad Wisły).

Wyrazów 9. Środkowy oznacza nazwisko sławnego męża, który się przyczynił do rozszerzenia oświaty. Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Waga.
3. Zwierzątko domowe.
4. Nazwa kwiatka.
5.
6. Imię żeńskie.
7. Zwierzątko ziemne.
8. Okres czasu.
9. Spółgłoska.

ROZWIAZANIA DO N-ru 12-go.

Szarady:

P o — w ó z.

Łamigłówki kryształowej:

M
K O S
R A N E K
A D M I R A Ł
M O N I U S Z K O
K O R S Y K A
M A Z U R
O K O
O

Skrzynka do listów.

Ogrodnik nie zauważył, że to nazwisko niedawno występowało w szaradzie, a łamigłówki kryształowe często są podawane. Linde był autorem słownika, nie historykiem. Pseudonym dobry.

Wilk ze stepów Chersońskich otrzymał zapewne żądany arkusz powieści.

Wesoła Figlarka nie czytuje chyba „Skrzynki do listów”, skoro przypuszcza, że liścik jej zdzudzić może redakcyą. Straszne burze zeszloroczne wszystkim się dały we znaki, może też nie powtórzą się tego lata.

Biała Ostróżkę prosimy, ażeby ten pseudonym zachowała. Pocziwież to rączki, co zaraz po chorobie pracowały dle biednych, Bóg je błogosławić będzie.

Kulka śniegowa wie zapewne, że są sposoby utrzymywania sztucznego zimna i w czasie upałów, więc pocóżby stopnieć miała? Upewniamy, że odpowiedź na zadanie wcale nie doszła, Gołąbka bardzo tem zmartwiona.

Tolwid dobrze ułożył zadanie konikowe, zamieścimy je z pewnością.

Brzoza z Gaiku może upewnić tego miłego Raczka, że będzie przyjęty z radością do grona korespondentów.

Niezapominajce z nad Warty Łukaszek kaleczka za pamięć dziękuje i paciorek zmówi za nią.

Świtezianką podpisywała się bardzo miła i wierna korespondentka, cieszymy się, że już drugą mamy na jej miejsce.

Wiosna wszystkie zagadki dobrze ułożyła, oby się tylko miejsce na nie jaknajprędzej znalazło, dawniejsza także nie zagięła, przepraszamy kochaną Wiosnę za opóźnienie.

Semiramis największą przyjemność nam sprawi, pisując tak poufale, jakby do cioci lub babuni. Kto pisze tak porządnie, nie potrzebuje się tłumaczyć i przepraszać; etykietalna korespondencya nie jest we zwyczaju w naszej redakcyi.

Palmie serdecznie za liścik dziękujemy; Gołąbka odpisuje obszerniej.

Chomik dobrze ułożył łamigłówkę, prosimy tylko o cierpliwość, tak samo, jak innych, bo setki łamigłówek nadchodzi.

Wichura ze stepów niepotrzebnie się ogaduje, bo liścik porządnie napisany, żeby jeszcze troszkę większe literki... Co do rozrzepiania, jesteśmy pewni, że to z wiekiem przeminie, wada to niezbyt straszna.

Sokół z nad Narwi zaskarbił sobie na zawsze wdzięczność naszej Gołąbki owym bukiecikiem, który naprawdę jest śliczny. Zasuszanie kwiatów o delikatniejszych barwach polega głównie na częstem zmienianiu bibuły i trzymaniu w suchem i ciepłym miejscu, na słońcu najlepiej.

Kupido Skrzydlaty i teraz w łamigłówce się pomylił, Borzobohata, Sahara przez h się pisze nie przez ch.

Ninę i Halunię z Kodymy upewniamy, że wcale nie wymagamy doskonałości od dziewczątek w tym wieku i kochamy je za otwartość. Prosimy tylko, ażeby na drugi raz pisały do „Kochanej pani”, bo panów w naszej redakcyi niema.

Niezapominajka z nad Warty trafnie odgadła nazwisko tej korespondentki.

Kmiotek ucieszył nas wiadomością, że baloniki mydlane mu się udały, bo to dość trudna sztuczka. Adres Gołąbki w naszej redakcyi.

J A

Czyżyk dobrze ułożył łamigłówkę.

Stara przyjaciółka Wieczorów może być pewna niezmienną przyjaźni całej naszej redakcyi, bo też na to zasłużyła.

Kochane moje Sasanko z lasów Mazowieckich, Mgło i Światelko! Jaka szkoda, że brak miejsca przeszkadzał wydrukowaniu waszych do mnie liścików! Z łatwością odgadłam, że w nich musiały być życzliwe słówka, to też serdecznie wam dziękuję, nieznanne siostrzyczki, jak wszystkim czytelniczkom, które mię kochają, według słów Kochanej pani. Teraz i szanowny czytelnik zrobił mi zaszczyt ofiarowaniem łamigłówki. Dziękuję bardzo Heliotropowi za *Rekawkę*, wasza Jaskółka z nad Sekwany.

Droga Kapryśna jedynaczko! Czytając z zajęciem korespondencya czytelniczek „W. R.” i ja zapragnęłam przyłączyć się do waszego gronka, a pomimo twego niezbyt pochlebnego pseudonymu, wiedziałam jaką niewytłomaczoną sympatyą, zwracam się do

ciebie z pierwszym listem moim. Chcąc dać ci się poznać cokolwiek, muszę coś o sobie napisać. Mieszkam na wsi, niedaleko Krakowa, lat mam 13, jestem mała na swój wiek i szczupła. Napisz mi również o swojej osobie. Cicha Woda.

Droga i milutka moja Excelsior! Pomimo tego, iż dotąd tak mało miałam sposobności do poznania ciebie lepiej, ogromnie mi się podobałaś. Mam nadzieję, że wkrótce znowu będę miała przyjemność widzenia ciebie, gdyż bardzo miłe wrażenie na mojej niegodnej osobie uczyniłaś. W ciągu tego tygodnia stałam się strasznie poważną, i zacząć; zupełnie do niepoznania. Odpisz prędko twojej szczerze ci oddanej Yum-Yum.

Jutrzenkę, dawniejszą Bułeczkę z masłem, pozdrawiam, gdyż jest obecnie moją kuzynką. Narcyz z Krakowa.

Droga Jaskółko z nad Sekwany. Czytając twoje serdeczne liściki w Wieczorach, wielką uczułam sympatyą do ciebie i nie mogłam się oprzeć chęci korespondowania z tobą, lecz nie wiem, czy i ty się na to zgodzisz? Ja skończę wkrótce 13 lat i noszę imię żony Batorego. Ściskam cię i proszę odpisz mi. Kochająca Semiramis.

Kochana Dziewanno z pól Mazowieckich! Bardzo mi się podobał twój pseudonym i pragnęłabym korespondować z tobą za pośrednictwem W. R. Napisz mi, jak ci na imię, i proszę, nie zwlekaj z odpowiedzią. Życzliwa Wiosna.

Kochana Jedlinko! Ty się pewno już nie spodziewałaś odpowiedzi odemnie i myślałaś o! jaka niegrzeczna! wybac mi, gdyż ja już od pół roku „Wieczorów” nie czytałam, bo musiałam ten czas spędzić poza domem, gotując się do egzaminu i już go zdałam. Niesłusznie sądzisz, że nie zechcę z tobą korespondować, i że ja pewno lubię klimat gorący; napisz coś więcej o sobie. Całuję cię, Palma.

Kochana Szara Kotko! Dowiedziałam się z listu innej panienki, że niedługo skończysz lat 9 i postanowiłam napisać do ciebie. Ja mam lat 9, mieszkam na wsi, nazywam się Stefcia. Dones mi co o sobie. Twoja Przepiórka.

Droga Chmurko Złocista! Ty jesteś pierwsza, do której piszę w życiu mojem, i z prawdziwą radością biorę się do tego. Jestem najmłodszą, mam rok ósmy, nazywam się Gabrynia. Proszę mi o sobie coś donieść. Tymczasem całuję cię serdecznie, twoja Złotowłosa.

Kochany Czyżyku! Zgadnij, kto jestem. Ja znam cię i ty mnie tak samo. Twój braciszek zmienić miał podobno pseudonym, tylko nie wiem na jaki inny. Odpisz jeżeliś łaskaw. Całuję cię, twój Ogrodnik.

Kochana Kapryśna Jedynaczko! Wyczytawszy, że jesteś moją rówieśniczką, mocno się ucieszyłam, i postanowiłam korespondować z tobą. Kształcę się w domu przy nauczycielce, muzykę bardzo lubię i grywam dużo, nauką prawie cały dzień jestem zajęta; mieszkam na wsi, wyjeżdżam mało, bo u nas okolica nudna i pusta. Mam dwie siostry i jednego brata w szkołach. Boję się więcej pisać, aby list nie był obcięty, czekam więc twojej odpowiedzi. Księżniczka z nad Wisły.

Kochana Czarnuszko z Mroczkowa! Zgadnij kto jestem? Widziałyśmy się w L... u państwa T... Odpisz mi prędko. Kochająca cię, Wesoła Figlarka.

Kochany Straszny Mrozie! U nas dziś taka okropna pora, że zaczynam się lękać, byś sprawdzając swą groźbę, nie zamroził mię, śpieszę więc odpowiedzieć na twój list. Nazywam się Wacław M., mam lat 10, uczę się w domu przy nauczycielu, przygotowuję się do II-jej klasy gimnazjum i dlatego to brak mi czasu na korespondencyą z W. R. Mam dwóch braciszków, Kazia rodzono i cioteczny Józia. Napisz mi choć początkowe litery swego nazwiska i miejsca zamieszkania, bo ciekawy jestem, kto jesteś, a odgadnąć nie mogę. Całuję cię serdecznie, twój Wilk ze stepów Chersońskich.